

OBRONA LUDU

tygodnik stronnictwa chrześcijańsko-ludowego.

Właściciele: Dr Michał Danielak i ks. Andrzej Szponder.

Wychodzi co sobotę.
Kosztuje rocznie 4 kor
półrocznie 2 kor.
Numer pojedynczy kosztuje
20 hal.
Listów nieopłaconych nie
przyjmuje się.

Biurow bezpłatnej porady prawnej
dla ubogich prenumeratorów
„Obrony Ludu“ jest otwarte
codziennie rano i popołudniu.
Kraków, ul. Pijarska 2.
Redakcja i administracja
znajduje się w Krakowie
ul. Pijarska 1. 2.

Ogłoszenia po 10 h. od wiersza
półszpaltowego.
Wszystkie listy i pieniądze
przesyłać należy pod adresem:
Administracja „Obrony ludu“,
Kraków, ul. Pijarska 1. 2.

PIJAŃSTWO JEST ŹRÓDŁEM ZBRODNI I NĘDZY!

POCHWALONY JEZUS CHRYSZTUS!

Tylko 1 korona!

Każdy nowy Czytelnik, który zaraz zapłaci 1 koronę, otrzymywać będzie „Obronę ludu“ co tygodnia aż do Nowego Roku. Pieniądze należy nadsyłać pod adresem: Administracja „Obrony ludu“ w Krakowie ulica Pijarska 1. 2.

Ratunek naszego włościaństwa konieczny dla uniknięcia
groźnych przesilen i wstrząśnień społecznych.

III.

W poprzedzających numerach „Obrony ludu“ wykazaliśmy w krótkości w jak opłakany stan włościaństwo się znajduje i jak niedozowną rzeczą jest zająć się poprawą przykrych stosunków, panujących wśród włościan, jeśli chce się rozprószyć gromadzące się chmury, które coraz bardziej się zbliżają, grożąc burzą społeczną. Wprawdzie zajmowanie się ludem jest dzisiaj poniekąd modą, ale lud z tego nie ma najmniejszej korzyści, bo modnym opiekunom chodzi o poznanie „gwary“ ludowej, o poznanie zwyczajów, jego wierzeń, opowiadań, pieśni, poezji a nawet jego architektury, ot coś podobnego jak to

uczni udają się w obce kraje, by poznać dzikie ludy lub by zbadać i zbliżyć się do życia jakiegoś rzadkiego gatunku zwierząt. A choć czasem który z panów inteligentników zadekłamuje na temat ludowy lub będąc „miększej“ natury rozczuli się i gotów nawet łzę uронić nad niedolą chłopską, to jednak lud temi pięknymi słówkami ani tą nudną czułościowością się nie nakarmi, nie przyodzieje, ani też nie ogrzeje. Jest drugi rodzaj zajmujących się niby ludem, którzy gwałtem narzucają się na przewodników ludowi. Tym „generałom“ powinienby się lud szczególnie przypatrywać, bo ci, znając słabe strony ludu, w nie uderzają, a lud oszołomiony siarczystym piorunowaniem na wszystko i na wszystkich niejednokrotnie dał się tym niedowarzoną „gadulom“ zbałamucić. Takich zaś „komiuwojażerów“, wygłaszających tu i ówdzie swe „mowy“ często bez sensu i loicznego myślenia a obliczone tylko na łatwowierność ludu i jego podrażnione nerwy, spotkać można tak dobrze w surdudach jak i w sukmanach chłopskich a trzeba tu zaznaczyć, że takiemu „politykowi“ dla własnego interesu sukmana chłopska znakomicie ułatwia jego zadanie, bo lud bądź co bądź prędzej uwierzy mówcy odzianemu w sukmanie, gdyż myśli, że to ich człowiek więc prawdę mówi.

Wszystkie te jednak szumne i piorunujące mowy czy surdudacizmy czy sukmaniarzy nie przyniosą ani odrobiny ulgi chłopskiej biedzie. Lecz takimi pustymi frazesami karmią lud nie tylko zawodowi politycy ludowi, lecz także Wysoki c. k. Rząd posługuje się temi samymi środkami. Rząd również zapewnia o swej przychylności i o jak najlepszych chęciach dla ludu, ale czynów któreby odpowiadały tym zapewnieniom i dobrym chęciom Rządu trudno się doczekać a nędza jak gryzła lud, tak go dalej gryzie i to coraz dotkliwiej. Posłowie ludowi i wszyscy ci, co to chcą uchodzić za pracowników na niwie ludowej, powinni zerwać z dotychczasową praktyką karmienia ludu tylko polityką a natomiast zabrać się do podniesienia dobrobytu wśród włościan. Tu trzebaby przedewszystkiem rozwinąć działalność, aby małe gospodarstwa były wolne od wszelkich podatków, bo jeżeli mający pensyi 600 złr. nie płaci podatku, to niechże przynajmniej takie gospodarstwa będą wolne od podatków, które na czysto przynoszą dochodu choć 300 złr. System szukania źródła dochodów państwowych i krajowych tylko u najbiedniejszych a przeważnie u posiadaczy małych gospodarstw, powinienby raz być złamanym a natomiast ciężar podatkowy powinienby spocząć głównie na kapitalistach i na pobierających wysokie pensyje. Kto ma n. p. 100 tysięcy złr. dochodu, temu łatwiej zapłacić podatku 50 tysięcy, jak gospodarzowi mającemu

dochodu 100 złr. zapłacić 10 złr. Jest to poprostu nonsensem i najzwyklejszą krzywdą kazać gospodarzowi jedno, dwu- lub trzymorgowemu płacić podatek, gdy posiadacz książeczki kasy oszczędności na kilka lub kilkanaście tysięcy złr. wcale nie płaci.

Państwo a w części i kraj powinny gminom dostarczać najpotrzebniejszych maszyn rolniczych za zwrotem kapitału w małych ratach, jak to już Rosya po części u siebie wprowadza a wówczas lud, mając namacalne dowody, uwierzyłby w życzliwość Rządu. Siewniki, młockarnie i sieczkarnie bardzoby się do tego nadawały.

Dalej ćwiczenia wojskowe z rezerwistami powinny być w czasie polnych robót jeśli już nie zupełnie zniesione, to przynajmniej jak najbardziej ograniczone, bo Bogiem a prawdą manewry wcale nie będą wpływać na wynik wojny a tylko są kosztowną i bezkorzystną próbą. Burowie nie odbywali manewrów a walili we wymanewrowanych Anglików jak w bęben.

Najważniejszą jednak rolę w podniesieniu ekonomicznem włościaństwa odegrałyby „spółki rolnicze“ czyli tak zwane „uprzemysłowienie rolnictwa“ i o tem powinni „działacze“ wśród ludu mówić a nie o różnych „koszałkach“, „opałkach“ — z czego lud najmniejszej nie odnosi korzyści a tylko rozgoryczenie. Jaką zaś doniosłość mają dla włościan „spółki rolnicze“, o tem można się przekonać z Danii, gdzie zaprowadzenie „spółek rolniczych“ uratowało włościan od ruiny i uczyniło ich zamożnymi gospodarzami. Tyle na razie wspominamy, coby naszym włościanom przyniosło znakomite korzyści a do tego przedmiotu, jako bardzo ważnego, jeszcze powrócimy.

Trzy miliony chłopskiej krwawicy.

Bardzo wiele razy zwracaliśmy uwagę na krzywdę, wyrządzaną ludowi przez to, że urzędy podatkowe ściągają od wielu chałup podatku domowo-klasowego zamiast **75 ct.** — 1 złr. 50 ct., to jest 2 razy tyle, aniżeli się należy. Krzywda ta trwa ciągle. Obecnie Towarzystwo Kółek rolniczych wydało książeczkę p. t.:

»Niewyzyskane ulgi podatkowe dla włościan«, której treść zgrozą przejąć musi każdego myślącego czytelnika. Oto zaraz na pierwszej stronie czytamy, że ludność włościańska w Galicyi z powodu własnej niezaradności i nieznamomości przepisów, opłaca rocznie dwa do trzech milionów koron w podatku domowym **więcej**, aniżeli ustawy wymagają.

Trzy miliony koron rocznie więcej, niż ustawy wymagają!

Fiskalizm, który do takich dochodzi rozmiarów, jest praw-

dziwą klęską społeczną, zwłaszcza, gdy dotyka najuboższych, bo właściciele lepianek o jednej izbie lub chatki na uboczu poza wsią stojących albo po nieurodzajnych gruntach górskich rozrzuconych. Podnoszono już u nas różne jaskrawe fakta ucisku fiskalnego, ale czyż mogą one wszystkie razem wzięte dorównać swym ogromem tej pladze, która po kilka milionów rocznie z największej nędzy wyciska? Wprost trudno byłoby dać wiarę temu obliczeniu, gdyby kto inny z niem wystąpił, a nie znany z bezstronności i przedmiotowości Zarząd główny Kółek rolniczych, którego o przesadę nikt chyba nie posądzi. Zresztą Zarząd Kółek przedstawia na poparcie twierdzenia wymowne cyfry.

Jest w całym kraju 664.563 domów o 1 tylko części mieszkalnej a z tej liczby tylko 11.028 domów opłaca podatek domowoklasowy w kwocie 75 ct. na rok, zaś 653.535 domów płaci rocznie po 3 kor. Według ustawy zaś domy, obejmujące tylko 1 część mieszkalną, zbudowane z ziemi, chrustu lub kołów (tak zw. lepianki), albo chaty samotne, t. j. stojące najmniej o 300 kroków od rady gminnej, mają płacić rocznie podatku domowego tylko 1 kor. 50 hal. (75 ct.).

Otóż Zarząd Kółek rolniczych stwierdza, że chatki o 1 części mieszkalnej są u nas — a zwłaszcza we wschodniej Galicyi, gdzie budulec drogi, lepiankami według pojęć ustawy i prawie wszystkie mają prawo z tego powodu do niższego wymiaru podatku. Nadto chatki te we wsiach górskich są w dalekich od siebie odstępach rozrzucone, więc także jako samotne w rozumieniu ustawy tylko po 1 kor. 50 hal. podatku opłacać mają.

Dalej stwierdza Zarząd Kółek rolniczych, że domów o jednej izbie z wolnionych od podatku z powodu nowej budowy jest tylko 3397, chociaż w rzeczywistości więcej niż połowa tych domów w ciągu 12 lat, wolnych od podatku, była zbudowana, a więc od podatku wolną być powinna. (Nowy dom przez dwanaście lat powinien być wolny od podatku).

Toż samo dotyczy domów o 2 izbach, których jest w kraju 282.889, z czego tylko 2843 od podatku uwolniono z powodu nowej budowy.

Pod tym względem zachodzi rażąca różnica, jeżeli rozglądnemy się w wykazie domów o trzech i czterech ubikacyach. I tak na 35.094 domów o trzech ubikacyach jest uwolnionych od podatku 1.018 domów a na 32.034 domów o większej liczbie ubikacyi uwolniono od podatku aż 2.126 domów.

Zarząd Kółek rolniczych całą winę tej nieuzasadnionej w ustawie kontrybucyi, którą na trzy miliony koron rocznie oblicza, składa na nieporadność i nieznamość ustaw ze strony włościan. Z takim pojmowaniem sprawy wcale się nie zgadzamy. Albowiem i Zarząd Kółek rolniczych z naciskiem podnosi, że **podanie o uwolnienie może i powinna wnosić w imieniu nieświadomych mieszkańców zwierzchność gminna**, od tego zaś są Wydziały powiatowe i Wydział krajowy, aby pilnowały zwierzchności gminnych i kontrolowały je, czy tak ważną powinność należycie wykonują. A także i c. k. **starostwa** powinny przecież zwrócić uwagę na nie-

proporcjonalnie mały procent chat i lepierek od podatku uwolnionych lub niższym podatkiem domowo-klasowym obłożonych. Jeśli najuboższa część ludności, nędzarze, cisnący się w jednej izbie, rocznie bez potrzeby i bez obowiązku ustawowego wydają miliony koron, to przecież nad takim strasznym objawem nie wolno obojętnie przejść do porządku dziennego. Wobec takiej niedoli i takiego fiskalizmu powinien Sejm, Koło polskie, prasa krajowa, całe społeczeństwo podnieść okrzyk zgromy i protestu. Jakże nie ma włościanin porzucać tego kraju, w którym parę milionów koron ponad obowiązek ustawy od niego biorą, a drugie parę milionów rocznie opłacać musi za dwory dodatków gminnych! To są stosunki wprost barbarzyńskie, które łomaczy, chociaż nie usprawiedliwia, nietylko nieświadomość włościan, ale też nieświadomość całego społeczeństwa tych krzywd ludu. A gdy Zarząd główny Kółek rolniczych położył palec na tej ranie społecznej, spodziewamy się, że jego niepokazna książeczka o niewyzyskanych ulgach podatkowych dla włościan wywoła w całym kraju odruch pożądany i że zarówno władze kompetentne, jak opinia publiczna staną energicznie w obronie uciśnionych nędzarzy.

W tym celu sprawę tę poruszamy.

Odwiedziny u ludożerców.

II.

Reszta dzikich widząc to, zaczęli cisnąć się do mnie, żądając natarczywie podarunków. Wszyscy chcieli pocierać nosy o mój nos, a domagali się tego tak gwałtownie, że co chwila spodziewałem się być zamordowanym.

Dałem jednemu chustkę do nosa, drugiemu nożyczki, trzeciemu gwoździe, czwartemu lusterko, piątemu kilka wędek, a gdy w mgnieniu oka wszystkie zapasy moje zniknęły, zaczęli mnie szarpać zewsząd, przerzucali mnie jak piłkę z rąk do rąk, zrywając ze mnie odzież. Zniecierpliwiony do ostatka, już chciałem porwać się do broni, gdy naczelnik wykrzyknął uroczystym głosem:

— Po-ma-li! — i zakreślił dokoła mnie końcem łuku wielkie koło. Poczem dał mi do zrozumienia, że pozwala nam zwiedzić wioskę.

Zaczelśmy się piąć w górę ścieżką przykrą i kamienistą, idąc jeden przy drugim i mając się dobrze na baczności. Wkrótce spostrzegliśmy porozrzucane na górze domki, pobudowane na palach, na kilka łokci sterzających nad ziemią.

Kilku dzikich pobiegło przodem, inni szli za nami. Jedni i drudzy coraz uparciej zwracali się do nas z groźbami. Aby ich ułagodzić, rozdawaliśmy im wszystko, co tylko mieliśmy na sobie, a oni nawzajem ofiarowali nam swe łuki i strzały.

We wsi oczy nasze uderzył okropny widok. Na ścianie chaty, stojącej z brzegu, wisiało kilkanaście piszczei i szczęk ludzkich zakrwawionych.

W tej chwili z okrętu rozległ się wystrzał armatni, wzywający nas do powrotu. Dzicy uważali to za hasło do bitwy i natychmiast podzieliwszy się na kilka gromad, zaczęli świstać, porozumiewając się między sobą. Niektórzy z nich maczali ostrza swoich strzał w zatrutym płynie i zdawali się tylko oczekiwać skinienia naczelnika, aby je na nas wypuścić. Z oczu im skry tryskały.

Czaszki, zawieszane na ścianach chaty, stały nam żywo w oczach, pomimo to zachowaliśmy się spokojnie, a chcąc odwrócić uwagę naszych gospodarzy, rozdawaliśmy im resztki naszej odzieży. Ja zaś pokazałem im jeszcze kilka nowych sztuk kuglarskich. To ich na chwilę uspokoiło.

Tymczasem powoli zbliżaliśmy się do brzegu.

Słońce chyliło się ku zachodowi, z okrętu raz po raz dawano nam znaki do powrotu — jednak nie mogłem oprzeć się chęci wyrysowania broni dzikich, zawieszanej na drzewie. Były tam miecze ostre i zakrzywione, długie łuki, strzały z zazębionem ostrzem, tarcze wielkie, obite skórą bawołu, ozdobione pękami włosów zabitych wrogów. Jeden z dzikusów z niespodzianą uprzejmością ustroił się w tę broń. Odrysowałem go dwa razy i jeden portret ofiarowałem mu. Zachwycony tem niezmiernie, potarł swój nos o mój potężnie, a potem przemówiwszy coś do jednego z towarzyszy, wydobyl miecz. Tamten uczynił to samo i obaj stanęli naprzeciw siebie, miotając groźne spojrzenia i straszliwe wydając krzyki. Potem zaczęli się pochylać, wyprężyć, podskakiwać, jak dwa zgłodniałe tygrysy, kryli się i wypadali z poza pni drzew, nakoniec uderzyli na siebie. Zawarczały młynicem w powietrzu miecze; za każdym cięciem mieczy spadały iskry. Głuchy łoskot mieczy, uderzających o bawole tarcze, zgrzyt żelaza, wściekłość wojowników, parskających białą pianą, niezrozumiałe przekleństwa — wszystko to było tak okropne, że najodważniejsze serce zamierało z przestachu.

Nie było to widowisko udane, ale walka na śmierć dwóch rozjuszonych wrogów, chciwych krwi i mordy. Nakoniec jeden głęboko raniony w udo padł na ziemię, lecz po chwili zerwał się i zatamowawszy strugę krwi, szedł spokojnie, jakby nic się nie stało.

Lata ubiegną, a ja nie zapomnę nigdy tej strasznej walki dzikich. Mors, mój wesóły błazen, zapomniał języka w gębie, wszyscy nie mogliśmy wyjść z podziwu. Dzicy z dumą uważali nasze zdziwienie.

Tymczasem beczułki z wodą były już oddawna zatoczone na czołno. Gdyśmy stanęli nad brzegiem morza, zdawało się, że dzicy nie pozwolą nam opuścić wyspy. Z początku zapraszali nas uprzejmie, dając do poznania, że przez noc zostaniemy pod ich opieką, później zaczęli nam grozić.

Uspokoiłiśmy ich, dając do zrozumienia, że jutro powrócimy i przyniesiemy z okrętu dużo bardzo pięknych rzeczy. Naradzali

się długo między sobą, nareszcie pozwolili nam wsiąść do łodzi. Widocznie nam uwierzyli.

Gdyśmy już byli dosyć daleko od brzegu, Mors odzyskał mowę i fantazyę i mnóstwem wesołych żartów obsypał dzikich, wysmiewając ich chciwość i łatwowierność.

— Bywajcie zdrowi, mili chłopcy! Spodziewacie się, że jutro nas obedrzą do szczętu, a potem uruczycie się naszym mięsem! Ale nie tacy my głupcy, jak wam się zdaje. Nie zobaczycie nas już nigdy. A żałujcie, żeście mnie nie pożarli! Żaden z was do końca życia nie skosztuje takiego przysmaku. Ale nie moja w tem wina, ja miałem wielką chęć uczestowania was moją żyłastą pieczenia, lecz ktoś wam winien, że nie macie za grosz oleju w głowie!

Takiemi kpinkami zabawiał nas Mors, gdyśmy dopływali do statku w noc cichą i ciepłą, kontenci, żeśmy się nareszcie wyrwali z rąk ludożerców.

Na drugi dzień spotkaliśmy okręt angielski. Kapitan tego okrętu oznajmił nam, iż piętnastu jego majtków, którzy popłynęli po drzewo do tej samej wyspy, dzicy zamordowali i pożarli. Zapewne ich to szczątki widzieliśmy porozwieszane na chatach. Tak więc, gdyby nie łaska Boska i nie moje kuglarskie sztuki, zapewne żaden z nas nie powróciłby cało z gościny u ludożerców.

POŻARY I ZGLISZCZA

POWIEŚĆ

NA TLE POWSTANIA STYCZNIOWEGO.

(Ciąg dalszy).

— O Aleks — jakiś ty wielki! — szepnęła.

— Takim, jakimś mnie chciała i zrobiła — odparł z łagodnym uśmiechem. Czego się mam lękać tego gadu? Co on mi weźmie, nie, co warte żalu, ani twego kochania i szacunku, ani duszy i wiary ani spokoju czystego sumienia. Zabiorę to z sobą, gdy padnę, a garść kości i ciała niech bierze... Nieprawdaż i ty się go już nie boisz?

— Byle nie zostać bez ciebie — wymówiła żałośnie.

— Nie rozłączny nas Bóg — odparł z wiarą stanowczą.

Nie, nie lękała się już niczego. Jej uczeń przerósł mistrzynię, teraz ona patrzyła ku niemu przejęta, o władnięta czarem takiego bohaterstwa i spokoju. Nie, nie lękała się już Czaplica . . .

Nazajutrz »Anna Luiza« przyjęła ich na swój pokład.

Oparta o parapet Władka wejrzeniem ulgi zęgnęła miasto, ziemię i tłum ludzi przyglądający się wyjazdowi. Wychodźców było sporo na statku, przeprowadzali ich krewni i znajomi, słychać było płacz i westchnienia, kwilenie niemowląt, przestrogi, prośby

o wieści. Jej tylko jednej nikt nie żegnał, i ona wrócić nie będzie mogła do kraju.

Statek dał pierwszy sygnał. Hałas się wzmógł, ludzie zaczęli krzyżeć, tłoczyć się do odwrotu. Spojrzała po tłumie, bezwiednie szukając znajomej twarzy, daremnie.

Po drugim sygnale zciągnięto mostek łączący z lądem, czarny słup dymu uwieńczył komin parowca. Obsługa zajęła swe miejsce, tylko Świdy nie było, gdzieś w czeluściach pokładu szufłował węgiel.

Trzeci gwizd, statek zadygotał i skoczył naprzód. Białe fale gonily go, czarny dym maścił czyste niebo, z lądu powiewały białe chusty i kapelusze.

Dalej i dalej, zrazu powoli wśród ciasnoty portowej, potem coraz szybciej, i nareszcie ziemia została jak pas białawy od fal nadbrzeżnych; wprost, na lewo i prawo zbiegł się siny Bałtyk z niebem; »Anna Luiza« ostatnim gwizdem pożegnała Rygę, i biegła już niczem nie hamowana.

Władka wciąż stała zapatrzona w nieskończoność morza, mowy poczęły przypadać nad statkiem i piszczeć żałośnie. Przyszły jej na myśl czajki z litewskich błot, i westchnęła z cicha.

Już nigdy nie zobaczy ptasząt swoich, ani nieba, już nigdy!

A tam w głębi, w tropikalnej temperaturze maszyny, Świda otarł znoj z czoła, i toż samo pomyślał z ciężkiem ściśnieniem serca. Ale wnet się rozpogodził i schylając się przed gorejącą pa-szczęką pieca, wyszeptał do siebie:

— Byle z nią Bóg dał. Byle z nią!

A ziemi już i śladu nie było na horyzoncie.

V.

W p u s z c z y .

Jakób Simson — jak sam powiadał o sobie — siedział w najdalszej osadzie białych na »dalekim Wschodzie.«

Osada to była niby forteca wśród dziewiczego lasu, obwie-dziona palisadami i rowem, przyparta jednym bokiem do strumie-nia, drugim do kawałka karczunku. Wewnątrz mieściła się chata, magazyny i zagrody dla bydła.

Chata była obszerna, bo oprócz ojca rodu, mieszkało tam sze-ściu i młodych Simsonów w części żonatych, oraz dwóch olbrzy-mich murzynów pastuchów i stary Indyanin pszczolarz.

Rojno więc tam było, dostatnio i zbrojno.

Siedem karabinów grzmiało po puszczy, płosząc dzikie ple-miona czerwonoskóre, zwierzta i włóczęgów, bydło swobodnie pa-sło się nad potokiem, w magazynie bezpiecznie gromadziły się cenne skóry i wosk.

Stary Simson nazywał się królem okolicy i nikt mu tytułu nie przeczył, bo na kilkanaście mil w promieniu nie było słychać

o osadach. Panował samowładnie nad okolicą, od lat kilkunastu za ludźmi nie tęsknił. w świat powracać nie chciał, dobrze mu było na bezludziu.

Aż dnia pewnego wielki rumor podniósł się w osadzie. Nie spowodował go trop niedźwiedzi, ani Indyan, ani zginienie bydła; powodem zajęcia i niepokoju, było parę świeżych drzazg drzewa, które w potoku wyłowił i do chaty przyniósł Sam Simson, najmłodszy syn Jakóba. Drzazgi były siekierą odcięte i wzbudziły tysiące przypuszczeń i obaw.

— W górze potoku ktoś wali hajakory!

— Ale kto! Pewnie biały!

— Tożbyśmy go dotychczas widzieli.

— Tędyby przyjeżdżał z Zachodu.

Stary Simson zakończył dysputę.

— Weź Sam Strzelbę, pójdziemy we dwóch na zwiady. Wy chłopcy do roboty.

Poszli tedy. Ojciec naprzód, syn za nim, nie mówiąc słowa do siebie. Puszczę znali jak swój dom, to też po godzinie marszu usłyszeli przed sobą donośny, miarowy łoskot siekiery.

— Przy małym moście — szepnął stary.

— Aha — mruknął młody, nadśledzując.

— Tęgo rąbie, a i bydło ryczy. Osadnik.

— Chodźmy ojeze — rzekł syn niecierpliwszy.

Nielada ciekawością był nowy człowiek dla tych pół dzikich skwuterów.

— Powoli. Ostrożność nie zawadzi Samie.

Pół pełznąć, pół idąc, zbliżyli się kroków kilkaset, las zrzedniał, a siekiera rozlegała się tuż. Podsunęli się na skraj gąszczu i zajrzeli.

Przed nimi jeden człowiek rąbał spokojnie pień stuletni, kilka zwalonych leżało w około nad potokiem.

Simsonowie podnieśli się z ziemi o dwa kroki przed nim:

Na widok dwóch drabów z bronią, samotnik sięgnął także po sztuciec oparty o drzewo i czekał spokojnie zaczepki.

Był wysoki, silnie zbudowany, młody jeszcze, ale niesłychanie wynędzniały i mizerny. Miał na sobie strzępy odzieży, na nogach strzępy butów, na głowie resztki kapelusza. Tylko twarz jego nie była ani znękaną, ani zmęczoną.

Owszem uśmiech się po niej się błakał, a w bystrych oczach świecił spokój i zadowolenie.

Wyprostowany, z palcem na cynglu broni patrzył śmiało w oczy przybyłych. Nie był ani zbójem, ani złodziejem. Podobał się staremu.

— Dzień dobry — pozdrowił pierwszy.

— Dzień dobry — odpart podobnież obcy, opuszczając broń.

— Zwabiliście nas siekierą. Od dawna już tu jesteście?

— Od wczoraj.

— A zdaleka?

— Z Europy.

— Prosto?

— Nie, pracowałem w New-Yorku pół roku.

— Myślicie się tu osiedlić?

— A tak. Wyznaczono mi tu iść. Możem na cudzy grunt zaszedł?

Simsonowie zaśmieli się razem.

— Tu nie ma cudzego gruntu. Gdzie spojrzysz, osiadaj, a coś zdobył to twoje. Jak zginiesz, to także twoje. My tu osadę mamy niżej nad potokiem. Dobra okolica, ale ciężko żyć, chyba jak my gromadą. Was ilu?

— Ja jeden z żoną — odparł z błyszczącymi oczami.

— To mało. Nie dacie rady. Blockhauzu nie postawicie do zimy.

— Ej, żona mi nie będzie zimować pod namiotem. Musi być chata, to i będzie.

— Jeśli dotrzymacie, co mówicie, toście zuch. A długo szliście?

— Dwa miesiące.

— Tak sam zupełnie?

— A sam.

Słońce stało w południu. Podczas tej rozmowy obcy wziął się znowu do siekiery, a przybyli usiedli na świeżo ściętym pniu i do-
bywszy z torby kawał pieczeni, posilali się po wędrówce.

— A wy sami z Niemiec? — badał stary, po przerwie.

— Dalej. Na imię mi Aleksander.

— To Sanders po naszymu — wtrącił sam Simson.

— A nazwisko mi Świda.

— A mnie Simson Jack, a ten mój syn najmłodszy. Pięciu jeszcze mam takich.

Nagle Sam jeść przestał, i otworzywszy szeroko oczy i usta, wpatrzył się w coś tak uporczywie, jakby w nadziemskie zjawisko. I stary się zdziwił.

— Czy to wasza żona? — spytał.

Świda się obejrzał, rzucił siekiere i podszedł naprzeciw nowo przybyłej.

Władka to była, ta sama, równie piękna i smukła, w grubej odzieży, z kociołkiem dymiącej strawy w ręku. Mało się zmieniła ta ukochana Świdy. Musiał on ją jak klejnot strzedz w tej ciężkiej drodze, ochraniać od skwaru i niewczasu, na ręku nosić jak świętość. Jego zżarło słońce i trudy, ją ozłociły tylko promienie, a trudy odbiły się tylko ostrzejszym rysunkiem rysów i silniejszą postawą. On na kość się zmizerował, jej dał tylko się zahartować nieco.

Zdziwiła się nieco widokiem obcych, ale Świda ją w paru słowach objaśnił, więc pierwsza powitała ich po angielsku, jak mąż, trochę z akcentem.

Simsonowie powstali. Ta delikatna, urocza postać kobiety była dla nich czemś nieznanem, wzbudzającym prawie trwożny szacunek. Sam stracił zupełnie rezon, a stary dopiero po długiej chwili ozwał się, hamując jak mógł gruby głos.

— A wam tu pani nie straszno w tej dziezy?

— Nie — odparła z uśmiechem. — Bezpieczniej jak gdzieindziej. Radam, żeśmy już przybyli wreszcie.

— Bydło macie i zapasy jakie?

— Zostało się sztuk cztery i koń — odparł za żonę Swida — reszta się zmarnowała w drodze.

— Psa najwięcej mi szkoda — dodała Władka, — dzisiaj w nocy coś go rozdarło.

— Bez psa źle. I węzów się strzeżcie. A gdzież wasze obozowisko? — badał stary, daleko więcej zajęty obcym, gdy jego żonę zobaczył.

— Jeśli wasza ochota, to je wam pokażę — ofiarowała się Władka — nieopodal nad potokiem, na polanie.

Swida w jedną chwilę uwinął się ze strawą i już ciosał dalej pomimo okropnego skwaru. Siekiera śmigała mu w rękę jak żywa.

— Spocznij, Aleks — poprosiła go.

— Nie mam czasu — odparł, żegnając ją serdecznym spojrzeniem.

Obozowisko składał wóz olbrzymi płótnem opięty, opakowany sprzętami i narzędziami; cztery chude woły i koń, na lassie u drzewa przyczepiony, pasły się nad potokiem, ognisko tlało w pośrodku polanki.

— I oto wczoraj przybyliście? — spytał Simson.

— Wczoraj, panie — odparła.

— Nie dajcie mężowi tyle pracować, Umoże się i rozchoruje, a blockhauzu czy tak, czy owak, nie postawi do zimy. Na to trzeba czterech ludzi dobrze wypoczętych i od niego tęższych. Wyście się pewnie w pałacu chowali.

— Dziesięciu silnych tego nie znieśie, co on zniósł, panie, a skoro rzekł, że blockhaus będzie, to i będzie — odparła — żadna moc go nie zatrzyma.

— Szkoda mi was — zamruczał stary.

Spojrzała na niego jasno bez trwogi i smutku.

— Dobrze nam tu, bo złych ludzi nie ma.

— Szcześć wam Boże! W razie potrzeby pomoc wam damy. A tymczasem do zobaczenia.

— Bywajcie zdrowi!

Simsonowie pożegnali zawziętego cieślę i poszli, trzebiąc liany po drodze. Długi czas milczeli obydwaj.

— Spokojni ludzie — zdecydował wreszcie stary.

— Jaka ona cudna! — zawołał Sam z zachwytem.

— Cudna, bo cudna! i dobra kobieta, ale nie na żonę dla trapera. Ta mu nie pomoże stawiać chaty.

— Na taką nigdy się napatrzeć nie dosyć. A taki jej żal przytem.

— Dobrzy, myślę ludzie — powtórzył stary — i dobre sąsiedztwo. Takim warto pomódz, jak się czas znajdzie.

Przez trzy dni u Simsonów o niczem innem mowy nie było jak o nowych przybyszach; kobiety pożerała ciekawość ujżenia Władki, mężczyźni rozwodzili się szeroko nad zuchwałym zamiarem obcego, zbudowania chaty w tak krótkim czasie.

Wybierali się z pomocą codzień, ale jakoś się zwlekało, a wre-

szcie siwy niedźwiedź dobrał się do pasieki i odwrócił na siebie ogólną uwagę.

Tylko Sam pamiętał o wędrowcach, i pewnego razu nie nikomu nie mówiąc, ruszył do nich w odwiedzinę, niosąc coś dużego w torbie przez plecy.

Doszedłszy polany zdumiał się... Dwadzieścia pni już obrobionych leżało zaciągniętych symetrycznie na łączce; drugie tyle było zwalonych opodal. Wyglądało to na robotę olbrzymów.

Siekiera nie brzmiała po lesie tymczasem, więc się młody Simson zatrwożył, sądząc, że Świda legł z trudu, i niespokojnie rozjeździł się po polanie.

Od wozu, przy którym Władka siedziała, spostrzegła gościa i powitała pierwsza.

Przystąpił mocno onieśmielony.

— A gdzie wasz mąż? — spytał.

— Ze strzelbą poszedł, bo zapasy nasze się kończą, więc je oszczędzać trzeba. Zapewne zaraz wróci.

Sam usiadł u ogniska i zdjął torbę z pleców.

— Przyniosłem wam oswojonego borsuka — rzekł, — od węzów to najlepszy stróż.

— Dziękuję wam z całego serca. Nie róbcie sobie przykrości. Może lubicie go?

— Wolę jak psa — odparł — wypuszczając na swobodę więźnia, który wnet myszkować zaczął po ziemi.

—————
Ciąg dalszy nastąpi.

Krzywdy i nadużycia.

Nie widział prosiaka a zafantował... W Krakowie odbyła się rozprawa karna przeciw Piotrowi Rysakowskiemu z Zelkowa o samowolne usunięcie z pod egzekucyi ruchomości zafantowanych przez c. k. urząd podatkowy za taksę wojskową.

Na doniesienie tutejszego starostwa, jakoby Rysakowski, zalegający z opłatą taksy wojskowej za rok 1900 w kwocie 2 kor. 42 h., zafantowane u niego prosię białe, wartości szacunkowej 20 kor., sprzedał i tym sposobem przez udaremnienie 3-krotnej licytacji ściągnięcie taksy wojskowej uniemożliwił, wniosła prokuratora przeciw Rysakowskiemu oskarżenie o przekroczenie sprzeniewierzenia.

Oskarżony Rysakowski zapiera się zarzuconego mu czynu karygodnego, utrzymując, że wprawdzie miał „świnę“ „niekoniecznie białą“, że jednak **nikt tej świnki u niego nie fantował**, nikt mu o fantowaniu nie doniósł, że zresztą on — nie wiedząc o rzekomym zafantowaniu — świnkę sąsiadowi sprzedał.

Świadek Franciszek Węgiel, pisarz gminny z Zelkowa, ubolewa mocno nad faktem pozbycia zafantowanego prosięcia, przez co oczywiście skarb państwa niezmiernie ukrócono.

Sędzia: Niechże mi świadek opowie, jak było z tem fantowaniem?

Świadek: Ano! zapisało się do protokołu prosię białe.

Sędzia: Ależ proszę mi opowiedzieć, jakżeście przyszedli do Rysakowskiego...

Świadek (przerywając): My tam wcale u Rysakowskiego w Zolkowie z egzekutorem **nie byli**. my byli tylko w Bolechowicach.

Sędzia: Więc jakżeście mogli zafantować świnkę, której **żaden z was nie widział** i jak mógłś pan na protokóle podpisać się jako świadek fantowania, którego wcale nie było?

Świadek: Ano! słyhać było, że podobno Rysakowski miał jakąś świnkę, więc się ją zapisało, bo jej widocznie nie sprzedał, skoro za granicę gminy nie brał dla niej paszportu(!).

Świadek Karol Folta, egzekutor podatkowy, pod krzyżowym ogniem pytań sędziego zeznaje, że **nie był** istotnie w domu oskarżonego, że **nie wie**, czy oskarżony miał świnkę, a co najciekawsze, iż świadek przypuszczając, że oskarżony ma poduszkę, postanowił zapisać do protokołu właśnie poduszkę, jako zafantowaną, ale później spisując protokół, przez pomyłkę zamiast poduszki zapisał świnkę.

Sędzia: Więc jakżeż możecie, nie będąc u strony i nie przekonawszy się, czy ta ma przedmiot zafantować się mający, spisywać protokół dokonanego fantowania?

Świadek: Fantowanie odbyło się 24 grudnia 1901, a dzień był krótki. Takich fantowań przypadło na ten dzień 20, prócz licytacji, więc w takich razach nie można być wszędzie i fantować, tylko się notuje **niewidziane** przedmioty ołówkiem, jako zafantowane, a potem układa się z tego protokół. Aby zaś przynajmniej o rzekomo dokonanem zafantowaniu zawiadomiono stronę, na taki koncept świadek się nie zdobył, „bo przecie w edykcie licytacyjnym było podane, że mają sprzedawać świnkę!“

Po tak cennych wyjaśnieniach zapadł oczywiście wyrok uwalniający, przyczem jednak sędzia nieprzyjemną dla pomysłowego „komisarza“ powziął uchwałę, że po prawomocności ogłoszonego wyroku akta mają być odstąpione starostwu w Krakowie do dalszego urzędowania.

Wartoby obliczyć, ile to tysięcy tego rodzaju egzekucyj „na niewidziane“ u nas w Galicyi rocznie się odbywa i ile tysięcy procesów karnych za niedopełnione sprzeniewierzenia wdrożono?! Strach co biedni ludziska muszą znosić.

Kronika i rozmaitości.

Różnice ilości mleka przy wolnem, a szybkim dojeniu. Poniższe spostrzeżenia będą niezawodnie zajmującemi dla wszystkich, którzy skazani są na dochód z krów. Przed trzema laty, pisze pewien rolnik, miałem 14 krów, z których po siedm stało z każdej strony przy jednym korycie. Chcę przez to zaznaczyć równe ich odpasanie. Ponieważ krótko przedtem dobrze je wybrakowałem, nie miałem przez dwa lata żadnej w oborze zmiany. 24 października 1898 r. przyjąłem nową dojarkę, bardzo pracowitą dziewczynę, ale niezmiernie powolnego usposobienia; doila też swe 7 krów zawsze najdłużej ze wszystkich i tak to szło przez rok cały. W drugim rzędzie stojące 7 krów doił najprzód parobek, który przez cztery miesiące służył u pewnego szwajcara i dobre miał świadectwo. U mnie okazał się do dojenia z gruntu niezdatnym i musiałem go oddalić po

2 i pół miesiącu. Po nim doły rząd ten dwie dziewczyny, które zrazu trzeba było uczyć dopiero dojenja, ale później doły dobrze. Te 7 krów zatem dojeno przez 2 i pół miesiąca lada jako, przez drugie 2 i pół średnio, dopiero przez 7 miesięcy zupełnie dobrze. Pod koniec roku zrobiłem z dojeniem następujące spostrzeżenie na zasadzie regularnych zapisków. Ostatni rząd krów, który przez trojake ręce przechodził, przyniósł w porównaniu do zeszłego roku 600 litrów więcej; pierwszy rząd, który przez cały rok ta sama doła (powolna) dojarka, przy tej samej paszy, tej samej opiece, przyniósł 2.000 litrów mniej. Każdy ktokolwiek oblicza mleko od pojedynczych swych krów, wie, że zachodzą nieraz pewne i znaczne nawet różnice; ale aby z siedmiu krów jednego rzędu każda dała prawie 300 litrów mniej, a tamte z drugiego rzędu każda 100 litr. więcej, to się chyba tak łatwo nie zdarzy. Nie myślę się pewnie, kładąc ubytek ten na karb powolnego dojenja owej dziewczyny. Licząc litr mleka po 9 fen., miałem — niby ze złej woli dziewczyny — 234 mk. straty! Oto wskazówka, jak ogromnie ważnem jest szybkie a dobre dojenie.

Pożarty przez rekina. Z Neapolu donoszą o przerażającym fakcie. Od czasu otwarcia kanału Suezkiego zdarza się czasem, iż pojawiają się w morzu Śródziemnem rekiny. Zwykle jednakże wskutek chłodniejszej temperatury wody na jesieni ci goście giną. Dotychczas nie zdarzało się, aby kto padł ofiarą żarłoczności tych strasznych morskich drapieżców. Ale niedawno właśnie zdarzył się taki wypadek w prowincyi włoskiej Cantazaro, niedaleko Morinadi Nicotera. Czterech młodzieńców, kąpiących się razem w morzu, zostało tam napadniętych nagle przez okropnego rekina, który okrążał ich z daleka w taki sposób, by przeciąć im drogę do brzegu. Młodzieńcy zaczęli krzyczeć przeraźliwie ratunku i rzucili się do ucieczki. Kilku rybaków natychmiast pospieszyło z pomocą na łodziach, ale kiedy już byli blisko, ujrzeli z przerażeniem, że jeden z uciekających został porwany przez rekina i z krzykiem zginął w głębokościach morskich razem ze swoim strasznym napastnikiem. Trzej inni zostali uratowani, o czwartym nie nie można było się dowiedzieć innego nad to, że woda w miejscu, w którym go rekina porwał, była zakrwawioną. Nieszczęśliwy liczył dopiero lat 18, nazywał się Antonio Magna i był piekarzem.

Widowisko teatralne Wilhelma II. Podczas manewrów pod Frankfurtem stanął cesarz Wilhelm na czele 16 pułków kawaleryi (około 10.000 koni) i wykonał z tą masą szalony atak na armię przeciwną. Cesarz pędził na przedzie z wzniesioną szablą. Kilka pułków piechoty z trudem tylko unikło stratowania, w wielkiem niebezpieczeństwie znajdowało się zwłaszcza kilka kompanij piechoty. Atak trwał 25 minut i przedstawił widok wspaniały. Krytycy wojskowi ujemnie jednakże oceniają tę szarżę, dowodząc, że w rzeczywistej bitwie z konnicy tej ani noga nie byłaby uszła, uważają więc próby takie za bezcelowe. Francuzi drwią z tej zabawki Wilhelma i nazywają ją widowiskiem teatralnem.

Głos kapłana górnośląskiego. Niedawno jeden z górnośląskich kapłanów, ks. Kotuliński, zamieścił w dziennikach długi artykuł, odpowiadający na pytanie, jakie stanowisko w walce narodowościowej mają zająć księża. Przestrzega on duchownych przed wszelką germanizacją, czy to w kościele, czy po za kościołem, bo ta germanizacja, ani księżom na dobre wyjść nie może, ani też nie może przynieść pożytku sprawie katolickiej. Ruch polski narodowy jest szczerze katolickim i w razie walki z Kościołem, zawsze stanie po stronie Kościoła. Duchowieństwo śląskie nie ma drogi do wyboru, lecz musi stać po stronie ludu, musi brać w opiekę język jego, bo inaczej stanąć musi przeciw religii katolickiej. — W tym samym tonie odzywał się kilkakrotnie *Postaniec Niedzielny*.

Wystąpił nawet z taką energią przeciw mieszaniu się hakatystów do spraw kościelnych i skrytykował tak dosadnie ich postępowanie, że prezes Towarzystwa hakatystów śląskich, pozasłużbowy prezes regencyi Flottwel, zaskarżył redaktora, ks. Melzera, o obrazę, za którą tenże skazany został na 100 marek grzywny.

Gorzknienie ogórków jest objawem wywołanym przez zbyt długie i silne działanie promieni słonecznych. Doświadczenie uczy, że wszystkie rośliny, ocienione i zabezpieczone przed zbyt dużym gorącem, dają piękne i zdrowe owoce. Jako środek zapobiegawczy zalecić więc można ocienianie i polewanie w czasie upałów.

Sposób na szczury. Bierze się zużyte, lecz czyste korki od butelki, kraje się je drobnutko i dobrze wysmarza w jakimkolwiek bądź tanim tłuszczu. Szczury chętnie korek tak przyrządzony zjadają, lecz giną od niego, ponieważ przysmaku strawić nie mogą. Byle im nie żałować, porcyę za porcyą dawać, dopóki zjadają. Zwracam uwagę, iż trucizna ta musi być przyrządzona czysto.

Takie i tym podobne, doświadczone już sposoby, praktykowane w gospodarce prosimy, niech czytelnicy nadsyłają nam do druku i rozpowszechnienia.

Co się robi dla nędznej wódki? Stanisław Bida, Adam Smajek i Stanisław Kuźmiński, młodzi murarze, jako szajka złodziei, nocami włamywała się do krakowskich szynków i trafik, kradnąc pieniądze, **wódkę** i co się dało. Pierwszych dwóch aresztowano, trzeci umknął z Krakowa. Tak więc:

I Smajkowi i Bidzie
Na smutny koniec przyjdzie;
A i Kuźmiński, choć umknął z drogi,
Nie ujdzie kary srogiej,
Bo, co się odwlecze,
To nie uciecze.

Śmierć ojcobójcy. Z Rzymu donoszą o wstrząsającym dramacie, który miał miejsce w Agugliaro, niedaleko Wincenzy. 54-letni agent Benedetto Santimaria, znany pijak i brutal, zalecał się w sposób bardzo gwałtowny do młodej żony swojego rodzonego syna Antonia, który był wtedy w wojsku, i chwalił się publicznie, jakoby miał otrzymać wzajemność pięknej synowej.

Kiedy Antonio powrócił z wojska, stary rozpustnik najcyniczniej zaczął synowi wprost w oczy ciskać obelgi na jego żonę. Wynikały stąd ustawicznie kłótnie i bojki, których rezultatem było w końcu to, że Antonio zastawszy razu pewnego ojca pijanego i słysząc jego wstrętne przechwałki, stracił cierpliwość, porwał ze ściany strzelbę i celnym wystrzałem zabił ojca na miejscu. Po tym czynie zapalił sobie cygare i najspokojniej oczekiwał na karabinierów. Okazało się, że zabity przez syna Benedetto Santimaria, będąc czternastoletnim chłopcem zabił swojego ojca kołem i za to siedział lat kilka w więzieniu. Teraz straszliwa nemezys kazała mu ponieść śmierć z rąk własnego syna.

Z targów zbożowych. Kraków, dnia 27 września. Płacono za 100 kilogr. netto
Pszenica od 15— do 16—; — Żyto od 13— do 14:10; Jęczmień od 12:20 do 14:60; — Owies z opłatą akcyzową od 12:80 do 13:30; — Groch od 18— do 26—; — Tataraka od 14— do 19—; — Proso od 11— do 14—; — Fasola od 14— do 18—; — Jagły od 18— do 24—; Siano od 4:60 do 5:60; — Słoma od 3:60 do 4—; — Koniczyna na paszę od 5:60 do 6—; — Ziemniaki za hektolitr od 2:80 do 3:60; — Jaja za kopę od 3.— do 3.60; — Masło za garniec od 6:50 do 7:50. Wszystko liczono w koronach.

Za ogłoszenia nie bierze Redakcja żadnej odpowiedzialności.

Najwyższe odznaczenie na wystawach światowych w Paryżu, Londynie, Wiedniu i Marsylii, dyplomy honorowe i złote medale otrzymał



„SAPOMENTHOL“

wyrobu **EUGENIUSZA MATULI**

aptekarza w Radomyślu koło Tarnowa (Galicya). Maść ta znana od lat wielu ze swej skuteczności używaną bywa przez P. P. Lekarzy przeciwko cierpieniom reumatycznym, gościowym, suchym bólowi i pokrewnym.

Cena za mały słoik 1 kor. 40 hal., za duży 5 koron. Po otrzymaniu należytości lub za zaliczką wysyła dwa razy dziennie wprost: Apteka i Laboratorium chem. farmaceut. Eugeniusza Matuli, Radomyśl koło Tarnowa (Galicya), gdzie też zamówienia przysyłać należy.

Przesyłając pieniądze, dołączyć należy 72 h. na przekaz i opłatę pocztową.

Żądać wyraźnie: SAPOMENTHOL wyrobu EUGENIUSZA MATULI i przyjmować tylko oryginalny w opakowaniu, jak obok rysunek. Ostrzega się przed naśladownictwami. Nazwa, opakowanie i marka ochronna prawnie zastrzeżona.

40 morgów pszennej gleby

w całości lub częściowo, w powiecie stryjskim pod korzystnymi warunkami ma zaraz do sprzedania **Wacław Pikaus** w Tejszarowie, pow. Bilcze-Wolica.

3-3

ŻUŻLE.

Mączka Tomsa do nabycia za gotówkę i na kredyt w handlu

JÓZEFA KRAWCZYŃSKIEGO

w Nowym Sączu, ul. Lwowska.

3-3